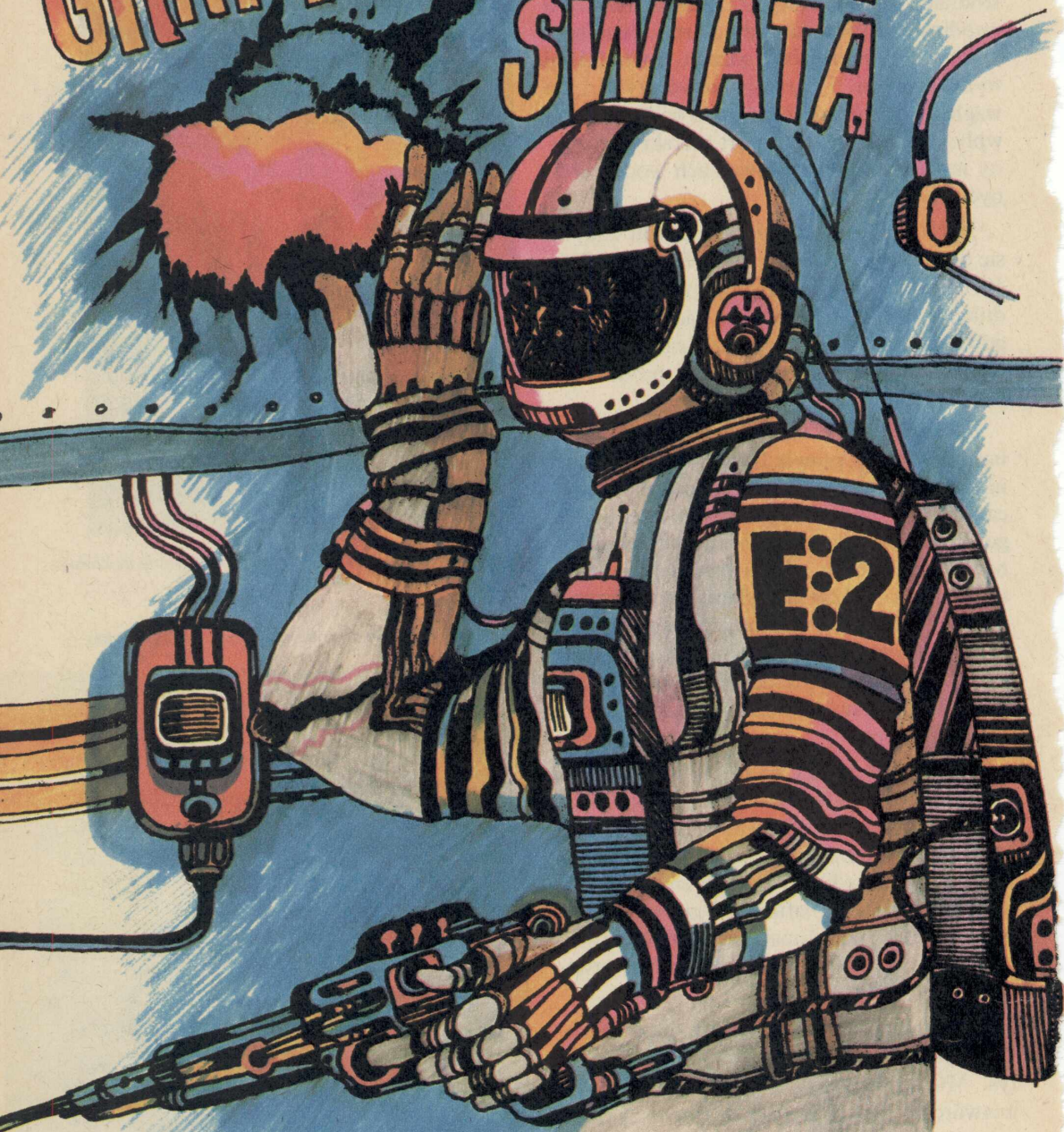


GRANICA WSZECH- ŚWIATA



Napisał: Jacek Sawaszkiwicz

Ilustrował: Marian Stachurski

Jam jest...

Mega... Giga... Tera...

Jam jest do samookreślenia dążący, pochłonięty szych granic szukaniem, gdzie rozpadliny i głębie moje, gdzie bezkresy i rozlewiska moje, mknący w siebie, we wnętrze własne, i od się, kędy drogi nieskończone.

Jam jest Ja i Ty, On i Ona. One i Oni, My i Wy. Jam jest tu i tam, teraz i zawsze. Jam jest światłem i ciemnością, materią i pustką.

Jam jest...

Jestem, bo gdy jest coś i coś, wtedy oba są.

Jest we mnie coś, co obudziło moją jaźń, co chociaż niezauważalne – postrzegam wszystkimi zmysłami. Jest to żywe jak ja, myślące jak ja, szukające swej drogi lub dróg, rozognione umysłem, z którego czerpię.

To wiele umysłów. Zamyka je przestrzeń tak mikroskopijna, jak mikroskopijne są owe umysły. Ile ich jest? Przygarść ledwie, drążę jeden po drugim i poznaję. Płynię z nich wiedza szeroką strugą.

Te istoty zbudowano z białka. Zbudowano? Powstały z przypadku lub konieczności – tego same nie wiedzą, mimo że pragną wiedzieć. Właśnie owo pragnienie skłoniło je do opuszczenia miejsca ich poczęcia, które oni zwą planetą Ziemią. Za nimi ogrom lat podróży, zaś podróż toż przecie i praca, i wytrwałność.

Znam ich kulturę, zatem wiem o nich wszystko.

To druga ekspedycja wysłana w ślad za pierwszą, która zginęła w bezmiarze Kosmosu. Załoga „Sondy VI” odbywała lot w stanie głębokiej anabiozy. Pokładowy znamiennik regularnie upewniał Ziemię, że podróż przebiega normalnie, aż naraz zamilkł i zasiał niepokój w sercach swych twórców.

Czekano. Tak wąty sygnał mógł pochłonąć fading, mogło się zdarzyć, że interferował w pobliżu źródła podobnych fal. Czekano na próżno. Załoga „Sondy VI” przestała istnieć. W pobliżu Gwiazdy Bez Klasyfikacji ludzie unicestwili się wzajemnie.

Badam mechanizmy psychofizyczne istot ludzkich, fizjologię organizmów białkowych i cykle biologiczne ustrojów żywych. Analizuję zmiany w czynnościach narządów, tkanek i komórek pod wpływem wzrostu grawitacji,

podczas nasilenia się promieniowania korpuskularnego, w trakcie nietypowych zaburzeń elektromagnetycznych. Przetrząsam historię ludzkości. Napotykam w niej zdumiewająco wzmożone rozbłyski korony słonecznej i równie zdumiewające epidemie dżumy, cholery, trądu. Odkrywam nazwy: chamsin, chinook, fen, halny, mistral, pasat, sirocco, zonda, a zaraz przy nich określenia: wzmożona pobudliwość, zaostrzenie konfliktów społecznych, wzrost przestępczości, wojna. Obserwuję zmiany geografii Kosmosu i widzę populacje o większej skłonności do zapadania na choroby psychiczne.

Kiedy „Sonda VI” weszła w strefę oddziaływania Gwiazdy Bez Klasyfikacji, ludzie, wbrew programowi, zbudzili się z krionicznego letargu i powstali, aby wykonać dalsze zadania. Nim pojęli, że obudzono ich przedwcześnie, emocje i uczucia wzięły górę nad rozsądkiem i skłócona załoga w wybuchu wzajemnej nienawiści zniszczyła swe życie. Zabiła ich Gwiazda Bez Klasyfikacji, a ściślej jej promienie, które za trzydzieści lat zostaną przez ludzi odkryte i nazwane promieniami amokularnymi.

W „Echu II”, idącym trop w trop za „Sondą VI”, załoga czuwa, by nie dać się zaskoczyć nieznanemu, lecz jest ona równie bezradna, co poprzednia. Za miesiąc wejdzie w pierwszą strefę zagrożenia i wówczas dowódcę piętnastu członków załogi ogarnie silne wzburzenie.

– Samos – powie do dyżurującego pilota, wskazując dziennik pokładowy. – Gdzie jest wpis?

Samos zamruga przekrwionymi oczami. Początkowo nie zrozumie pytania. Kiedy wreszcie pojmie, odrzeknie zdumiony:

– Przecież od dwóch lat...

– Nie możemy ciągle ufać instrumentom! – przerwie mu dowódca. – Dwa lata wczasów to wystarczająco dużo, żeby znowu zabrać się do roboty!

Pilot zamknie usta i skinie głową. Przycisnie jeden z rozsypanych w skrytce szablonów do czystej karty dziennika. Starego napadło – stwierdzi po cichu, ale pomyśli, że wydarzyło się coś niesłychanego, przy czym i on odczuje lekkie zdenerwowanie. Przypisze je wyłącznie

sobie, bo spostrzeże, że pierwszy raz od początku podróży nazwał dowódcę „starym”: wszak mówił do niego Joll, jakby znali się od dzieciństwa.

Dowódca przemierzy puste korytarze, uruchomi dźwig towarowy, walnie pięścią w taster wołania windy i spyta sam siebie: „Skąd ten wybuch?” Potem zrobi pobieżny przegląd statku.

Cała szesnastka spotka się przy obiedzie. Będzie to ewenement, bowiem ostatnio zwykle jadali osobno i o najróżniejszych porach. Niektórzy będą się oglądali po kilkumiesięcznym niewidzeniu. Zobaczą, że ten zapuścił brodę, temten posiwił, innemu trzęsą się ręce i ma podkrążone oczy z wyczerpania. Kapitan Joll zajrzy każdemu w twarz, jakby badał stan ich zdrowia.

– Dlaczego jest nas szesnastu? – zagadnie pozornie spokojnie. – Kto powinien dyżurować?

Luggio wstanie i bez słowa opuści mesę. Popatrzą po sobie. Potrwa to chwilę, chwilę, która nosi znamiona buntu. Barnett – biochemik – ciśnie talerzem o ziemię i wyjdzie za Luggiem. Wzrok pozostałych spocznie na kapitanie. Wzrok pełen wyrzutu, więcej – pretenzji. Rozejdą się w milczeniu. Wrócą do swoich kabin, ale nie wszyscy podejmą przerwana pracę czy legną na łóżkach z oczami wbitymi w sufit.

Do wieczora nie wydarzy się nic szczególnego. Dopiero na godzinę przed umowną porą nocnego wypoczynku na głównym korytarzu rozgorzeje kłótnia. Wywoła ją Gemi, który posadzi mieszkającego po sąsiedzku Darknesa o grzebanie w jego papierach. Dojdzie do rękoczynów. Zaalarmowany krzykami dowódca rozdzieli zaciętrzewionych fizyków.

– Już od dawna go podejrzewałem – oświadczy rozwścieczony Gemi. – Zaczaiłem się w pokoju i czekam. Patrzą, drzwi się rozsuwają – ale nie całkowicie, jakby je ktoś przytrzymał – a on wpycha do środka tę swoją głupią gębę i łypie naokoło. Więc wziąłem za łeb...

– Dodaj, że zawołałem cię po imieniu – wtrąci Darkness doprowadzając się do porządku. – Chciałem tylko spytać, kiedy wreszcie

zwolnisz centralny blok kalkulatora. Od trzech dni jest przeciążony, ty, ty...

W nocy chwilowa niedyspozycja układu zasilania wpłynie na natężenie światła w gabinecie dowódcy, co go rozdrażni do tego stopnia, że urwie pokrętko regulatora. Zaniepokojony stanem własnych nerwów uda się do pokładowego psychoanalityka Arnewsa, z postanowieniem ściągnięcia go z łóżka w razie potrzeby. Ale Arnews nie będzie spać.

Spojrzą na siebie spođe łba.

– Wiedziałem – warknie Arnews. – Wiedziałem, że przyjdiesz. Sam nie możesz sobie dać z tym rady, co?

Jad zawarty w słowach psychoanalityka zbudzi w nim gniew. Joll pohamuje się ostatkiem woli.

– Każdy z nas ma inne zadanie, Arnews – rzeknie, uświadamiając sobie, że nigdy nie lubił tego odludka obserwującego z wyższością załogę statku, jak gdyby z samych zachowań jej członków wiedział o nich absolutnie wszystko. – Czy to szok Kosmosu?

Arnews zauważy, że kapitan zaciska zęby. To rytmiczne drganie policzków dowódcy wyda mu się pozerskie, wręcz groteskowe. Odrażające. Równocześnie stwierdzi, że i on ledwie panuje nad nerwami, choć winien w tej i każdej innej sytuacji wykazać najwięcej zdrowego rozsądku i zachować zimną krew.

– Nie sądzę – syknie, domyślając się, że jego postawa rodzi w kapitanie uczucia sprzeciwu i wrogości, że też zachowuje się sztucznie. – Naturalnym odruchem byłaby izolacja.

– Jakiś czas unikaliśmy się wzajemnie. Do wczoraj.

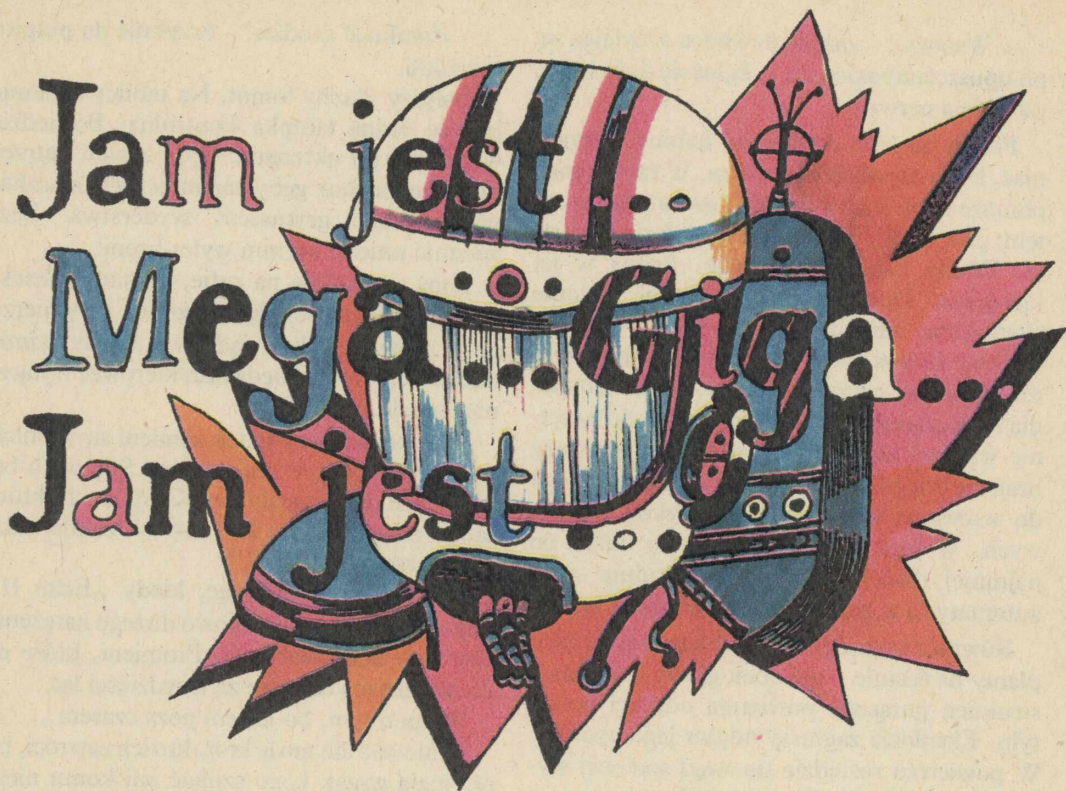
– Istotnie. Ale od kilkunastu godzin człowiek szuka człowieka, żeby wylądować złość na kimś żywym.

– Czy to kolejne stadium patologicznego wpływu podróży kosmicznej?

Stadium patologicznego wpływu – powtórzy w myślach Arnews. Zirytuje go ten dziwny, pseudomedyczny język.

– Chcesz wiedzieć, czy dostajemy hysia? – spyta. – Tak, dostajemy. Jednakowoż nie mam pojęcia, czemu to zawdzięczamy.

– Chcę wiedzieć, jak temu zaradzić – wycedził Joll.



– Spróbuj zaaplikować załodze podwójną dawkę środków uspokajających. Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. A teraz wyjdź, wyjdź stąd, do diabła!

Dowódca dopiero za drzwiami pojmie, że psychoanalityk posunął się za daleko. Zdusi przekleństwo i zejdzie do ładowni, aby w spokoju przemyśleć wszystko dokładnie. Po drodze wstąpi do magazynu broni. Natychmiast spostrzeże brak trzech miotaczy. Odwróci się gwałtownie, przestraszony urojonym szelestem. Potem przeciągnie dłonią po twarzy.

– Opanuj się – powie głośno.

Wyjmie z uchwytów krótki, ręczny parezator i schowa go do kieszeni. Wejście do magazynu zablokuje funkcyjnym szyfrem. Odnalezienie trzech sztuk broni postanowi odłożyć do następnego dnia i uda się na spoczynek. Zaśnie nad ranem.

Obudzą go krzyki dobiegające z części dziobowej. W biegu narzuci bluzę, odbezpieczy parezator. Przed sterownią zwolni, zbliży się

do niej na palcach. W środku, cztery kroki za Luggiem, niebawem zdającym dyżur, będzie stał Tethulos – wirusolog – z miotaczem gotowym do pracy.

– Wykonuj! – wrzaśnie Tethulos mierząc z broni w plecy Luggia. – Program czwarty z automatycznym na ósmy! Słyszysz?!

Luggio oprze dłoń na pulpicie programującym.

– Prędej! Dla mnie to frajda kropnąć kość takiego jak ty!

Dowódca naciśnie spust. Poczuje tysiące słabych ukłuć na ciele. Tethulos upuści miotacz, zegnę się w pół i płynnie, jak na zwolnionym filmie, przekoziołkuje na podłogę sterowni.

Luggio podniesie tępy wzrok na kapitana. Przez jakiś czas znać będzie po nim skutki przebywania zbyt blisko pola paraliżującego.

– Chciał czwarty i ósmy – wyzna półprzytomnie. – Zejście na parkingową i manewr powrotu.

– Wstawaj! – zażąda dowódca schylając się po upuszczony miotacz. – Zgłoś się do Schulza po coś na nerwy.

Potem zacznie obchodzić kabiny i wyganiać, kogo napotka, do lekarza. W razie oporu pomoże sobie kolbą broni. Powtarzając szepcąc: „Opanuj się”, dojdzie do pokoju Barnetta. Wtedy usłyszy detonację. Pogna w jej kierunku. Drzwi magazynu broni zastanie sforsowane miotaczem, a w środku poprzewracane stojaki i otwartą skrzynię z zapasowymi wkładami energetycznymi. Strzeli do cienia mającego w kacie, demolując doszczętnie wnętrze magazynu. Wychodząc zauważy brak ciężkiego dezintegratora przeznaczonego do usuwania masywnych przeszkód terenowych. W jego przeniesieniu brało udział co najmniej dwóch ludzi – wykalkuluje – bo automaty są w przechowalni. To mógł być...

Równy z pojawieniem się bielejącej od żaru plamy na ścianie – tuż obok głowy kapitana – strumień gorącego powietrza odrzuci go do tyłu. Eksplozja zagłuszy odgłos jego upadku. W powietrzu rozejdzie się swąd spalonej wkładziny ściennej. Za załamaniem korytarza dowódca ujrzy znajomą twarz.

– Dość twoich rządów, Joll! – ryknie Gemi. – Nie potrafisz upilnować tego szczura Darknessa, więc sam to zrobię!

Fizyk zbliży do oczu przyrządy celownicze. Dowódca uskoczy we wnękę ze sprzętem tlenowym. Zawaha się przed ostatecznym krokiem. Jednocześnie zawładnie nim dzikie, atawistyczne pragnienie zemsty.

– Spokojnie, Gemi! – zawoła. – To nie twoja wina! Zdaje się, że weszliśmy w zasięg czegoś, co potrafi wywoływać w nas uczucie agresji.

Nadstawi uszu. Tam, skąd dobiegnie go ironiczny śmiech, skieruje ogień miotacza. Prażąc bez przerwy, otoczony kłębam dymu, wśród fruujących płacht kopci, zacznie się wycofywać w stronę dziobu. Jego kroki zagłuszy buczenie awaryjnej instalacji wentylacyjnej. Na pół oślepy, z załzawionymi oczami, dobrnie do pustej sterowni. W chwilę później rozlegną się pojedyncze wybuchy na śródkrepciu, z wolna przechodzące w ciągłe dudnienie.

– Zamknąć grodzie! – krzyknie do pulpitu rozrządu.

Usłyszy głuchy łomot. Na tablicy zapłonie jeszcze jedna lampka kontrolna. Powiedzie wzrokiem po ekranach. Będą z nich patrzeć nienawistne mu gęby tajemniczych maszkar wykrzywione grymasem szyderstwa. Bezwiednie uniesie ku nim wylot broni...

Ktoś zamknięty na rufie, miotany wściekłością, odbezpieczy dezintegrator i wymierzy go w główny reaktor jądrowy. Kiedy zajmie miejsce operatora, będą nim kierować wyłączne emocje.

W zupełnej ciszy statek zamieni się w obłok o średnicy tysięcy kilometrów. Siłą pędu będzie leciał do Gwiazdy bez Klasyfikacji, która zabije załogę „Echa II”, tak jak zabiła ludzi z wyprawy „Sondy VI”.

To nastąpi za miesiąc, kiedy „Echo II” wejdzie w strefę stosunkowo dużego natężenia promieni amokularnych. Promieni, które na Ziemi zostaną odkryte za trzydzieści lat.

Wiem o tym, bo jestem poza czasem...

Uratować ich może ktoś, kto ich zawróci, bo nie mają jednak kogo szukać ani komu nieść pomoc i narażają swe kruche życie nadaremnie.

Zatem niech wracają, na razie nieświadomi, że wskutek obcej ingerencji zmieniony został kierunek ich lotu. A kiedy wrócą, kiedy Ziemia wyekspeduje „Sondę IX”, której także nie będzie dane dotrzeć dalej niż tutaj, wtenczas ludzie nazwą mnie Granicą Wszechświata i będą tak nazywać wiele lat. Ci ludzie, których świadomość obudziła moja świadomość.

Ludzie, dzięki którym poznają siebie, dzięki którym jestem.

Bo gdy jest coś i coś, wtedy oba są.

I dlatego jam jest.

Jam jest światłem i ciemnością, materią i pustką.

Jam jest, kędy drogi nieskończone, mknący w siebie, we wnętrze własne, i od się, gdzie bezkresy i rozlewiska moje, gdzie rozpadliny i głębie moje, szukaniem granic swych pochłonięty, do samookreślenia dążący...

Jam jest...

Tera... Giga... Mega...

Jam jest...